Nr 11. Zakopane, dnia 5-go lipca 1919. Rok II.

ECHO TATRZAŃSKIE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM TATR I PODHALA

REDAKTOR: Dr Józef Diehl. NAKŁADEM: Księgarni Podhalańskiej w Zakopanem.

Przedpłata: rocznie 30 kor., półrocznie 15 kor. — Numer osobny: 1 kor. 50 hal. — Ogłoszenia: Cena według umowy z Administracją.

Szabla Beniowskiego.

Przepiękny przyczynek do dziejów naszego romantyzmu u schyłku XVIII-go i na początku XIX-go wieku, z którego tak obficie czerpał Słowacki i do którego niedawno sięgnął Sieroszewski w swej trylogji zaczynającej się od powieści p. t. „Beniowski“, znajduje się po drugiej stronie Karpat, już poza etnograficznem granicami tego drugiego naszego Podhala — w pobratymczej Orawie słowackiej.

Żyje w Dolnym Kubinie podeszły w latach, lecz czerstwy na ciele i na duchu adwokat, Ignacy Radliński, znany w byłem państwie węgierskiem obrońca uciemiężonego ludu słowackiego, który całe życie poświęcił ideji słowiańskiej i niejedną ofiarę poniósł dla swego narodu w czasach najgorszego prześladowania go przez madziarów. Urodził się i wychował w romantycznej Orawie, tam działał bez przerwy kilka dziesiątek lat i tam doczekał się upadku ciemiężycieli.

Kulturę naszą, choć jego przodkowie w Polsce się rodzili zna tylko pośrednio, po polsku nie umie, ani się też nie uczył, ale jest w nim coś naszego w postaci i w obejściu, co za serce chwyta.

Ożywia się na samo wspomnienie o Polsce i gościa Polaka prowadzi do swej kancelarji, istnego składu starożytności. Z pośród wiszących na ścianie pamiątek zdejmuje w milczeniu ostrożnie szablicę krzywą w czarną skórę oprawną i dość pospolitą. Okaz to nie wielki, większy niż średniej wielkości i o wybitnie muzealnym wyglądzie. Z ciekawością spoglądasz na stary grat, który ci gospodarz uroczystym giestem i z tajemniczą miną podsuwa przed oczy. Jeszcze większe zaciekawienie budzi w tobie rumieniec, jakby wzruszenie na jego twarzy. Jakież więc jest twoje zdumienie, gdy starzec z płomieniem w źrenicach wypowie nareszcie po słowacku: „To szablica Beniowskiego!“

Opowiadanie spadkobiercy konfederaty barskiego, które słyszysz po słowacku i doskonale rozumiesz, tak wygląda w streszczeniu:

Obecnie żyjący adwokat, Ignacy Radliński miał stryja, którego znał chłopcem będąc i o jego podróżach, połączonych z dziwnemi przygodami wiele się w swem życiu nasłuchał, jużto od niego samego, już to od innych ludzi w Kubinie. Stryj ten był szlachcicem polskim, był na wojnie z Moskalami, w jakiejś tam bitwie dostał się do niewoli i zapędzono go na Syberję, czy też na Sachalin i potem na Kamczatkę. Tam na wygnaniu, czy też przedtem w Polsce jeszcze poznał się ze sławnym Beniowskim, razem z nim uciekł na okręcie i długo tułał się po różnych krajach, aż wylądował na Madagaskarze. W wojsku Beniowskiego był oficerem podczas zdobywania tej wyspy.

Kiedy Beniowski został cesarzem Madagaskaru, Radliński był jego ministrem wojny. Po upadku cesarstwa i po śmierci swego władcy Radliński długo błądził po różnych częściach świata doznawał różnych przeciwności losu, aż dotarł na Słowaczyznę, gdzie osiadł w Dolnym Kubinie. Tamże otworzył sobie karczmę i dobrze mu się działo. Pamiętali go długo w Kubinie jako wesołego i krotochwilnego człowieka i przedewszystkiem jako byłego ministra wojny cesarza Madagaskaru, Beniowskiego. Sława zaś tego ostatniego żywą była wówczas i później na Słowaczyźnie, bo i to była jego rodzinna ziemia, a opowiadania jego ministra przyczyniły się wielce do jej rozpowszechnienia. Na starość sprzedał Radliński karczmę i przeniósł się do posiadłości swej tuż pod Kubinem, gdzie żywota dokonał. Kiedy synowiec (Ignacy) dziedziczył po swym stryju, dostała się mu w spadku między innemi szabla, najdroższa pamiątka świetnych czasów cesarstwa mdagaskarskiego, którą darował swego czasu Beniowski towarzyszowi doli i niedoli, przyjacielowi i podobno swemu ministrowi wojny na pamiątkę.

Jakkolwiek będziemy się zapatrywali na sprawę piastowania godności ministra wojny przez Radlińskiego w świetle pamiętników Beniowskiego, to jednak nie ulega najmniejszej wątpliwości, że był w bliższych a na-

wet najbliższych stosunkach z osobą wielkorządcy Madagaskaru. Wynika to nietylko z tego, co o nim wiarogodnie opowiada obecnie żyjący synowiec, lecz przedewszystkiem z tej okoliczności, że osiedlenie się jego na Orawie nie było tylko czystym przypadkiem. Powrót Radlińskiego na Słowaczyznę stoi w związku z tym zapisanym przez Beniowskiego momentem, że posyłał z Paryża umyślnego posłańca po swą żonę i synka na Spisz, którymto posłańcem był niewątpliwie sam Radliński.

Notuję wiernie to żywe źródło naszej przeszłości na Słowaczyźnie, coprawda powierzchownie narazie zbadane, z obawy, by wśród obecnej zawieruchy nie przepadło, zwłaszcza, że posiadacz tradycji jest 80-letnim starcem. Mam jednak nadzieję, że uda mi się wyświetlić jeszcze tę sprawę, skoro tylko powrócą normalne stosunki ze Słowaczyzną i dorzucić więcej jeszcze szczegółów do wypuklenia postaci Radlińskiego, których nie mogę na razie dotykać z różnych powodów.

Dodam jeszcze, że polskich pamiątek jest tam na Słowaczyźnie więcej jeszcze i to przez naukę polską nietkniętych.

Na domu wspomnianego adwokata kubińskiego umieścili przed rokiem wdzięczni Słowacy czarną marmurową tablicę, która złotemi głoskami opiewa sławę i pamięć Andrzeja Radlińskiego, uczonego księdza, bibljotekarza i t. d. działającego na Słowaczyźnie w pierwszej połowie XIX-go wieku. Jestto pierwszy znak widomy odradzającej się Słowaczyzny, dziś już wyzwolonej, a u progu jej odrodzenia, jak również wyzwolenia spotykamy nazwiska polskie księdza Andrzeja i adwokata Ignacego — Radlińskich.

J. G.

List do Szczawnicy i Krościenka.

Zdawałoby się, że dziś, gdy mamy wolną Ojczyznę, wytężymy siły, by obudzić się z bezwładu, braku energji i woli, że zaczniemy naprawdę pracę koło zagonu, bo to już nasz własny zagon, własna ziemia.

Niestety!

Codzienne przykłady pokazują, żeśmy się nie wiele nauczyli od naszych ciemięzców, w każdym razie nie nauczyli ich zalet, nie przejęli ich własności wartościowych.

Oto leży przedemną wspaniały prospekt wody ze źródła Andersdorfer „Elite“ na Śląsku.

Wielki, barwny anons reklamowy w niemieckim języku oznajmiający, że zarząd wymienionego zdroju dostarcza wszędzie tej wody podobnej do Gieshüblera, po cenie kilkudziesięciu halerzy za flaszkę litrową z transportem. Dostarcza już teraz, dziś, gdy po niezmiernych trudach można dojechać do Wiednia, na Morawy lub Śląsk, ruchliwy, niestrudzony Niemiec już dostarczyć nam gotów swych produktów.

I mimowoli przychodzi ci na myśl, obywatelu polski, że w tym samym powiecie nowotarskim, gdzie idą wody z Andersdorfer są dwa wyborne zdroje, dwa źródła znakomite: Krościeńskie i Szczawnickie, kilkadziesiąt kilometrów od Zakopanego oddalone, — ale wody z tych zdrojów są nie do nabycia.

Niema ich w żadnej aptece, w żadnym składzie.

Ludzie idą od sklepu do sklepu pytają się i proszą, bo im tych wód potrzeba, bo nie chcą pić wód niemieckich, ni czeskich, ale swoje własne — nasze zarządy zdrojowe drzemią snem błogosławionym.

A przez ten czas obcy niemiecki wytwór już wjeżdża w nasz kraj na nowo, korzysta żeśmy tak ciemni, tak leniwi, tak gnuśni.

I musimy pić „Elitis“ niemiecką wodę z Andersdorfer!

Trudno nie pisać satyry.

Dr Tadeusz Gabryszewski.

JULJUSZ ZBOROWSKI.

„Projekt tatrzański“ Sienkiewicza.

Było to w r. 1903. „Akademicki komitet dla sprowadzenia zwłok Juljusza Słowackiego do kraju“ zwrócił się do wybitnych członków kulturalnego społeczeństwa z zapytaniem, gdzie należy złożyć prochy wieszcza? Sądzono podówczas w komitecie, że nie zajdą żadne przeszkody w urządzeniu uroczystego pogrzebu, który miał się odbyć w roku jubileuszowym 1909. Parę lat tylko odgradzało od tej chwili.

Sprawa wyboru miejsca na grobowiec była przeto pilną i ważną, bo przecież od ostatecznego ustalenia, gdzie pochować poetę, zależały dalsze czynności komitetu, czynności niejednokrotnie bardzo trudne i nad wyraz przykre. Zwłaszcza te ostatnie narastały bezustannie; usunięte pozornie, po niejakim czasie podnosiły znowu głowę w towarzystwie nowych utrudnień. Począwszy od sprawy ekshumacyi zwłok z paryskiego cmentarza, połączonej z formalnościami natury prawnej, które tylko francuski rząd, czy parlament mógł usunąć, skończywszy na zwalczaniu niezrozumiałych do dziś dnia i najdziwaczniejszych uprzedzeń, kronika Akademickiego komitetu obfituje w kwiatki swoisto-polskiego wytworu. I jeżeliby kiedyś w przyszłej pamiątkowej książce komitetu znalazła się choć część tych zniewag, jakie wyrządzono gienjalnemu poecie, choć część tych artykułów dziennikarskich, w których sprawę sprowadzenia zwłok do kraju uważano za politycznego konika, — przyznanoby słuszność tej nielicznej grupie piszących, „która sprzeciwiała się usilnie... sprowadzaniu popiołów wielkiego poety do kraju, zanim duch jego nie został sprowadzony, nie poznane, a nawet w całości nie ogłoszone dzieła[1]).

Do wyników ankiety przywiązywano w komitecie wielką wagę. Kto znał stosunek społeczeństwa do Słowackiego, nie zdziwi się, że ankietę ogłoszono już na sześć lat przed przypuszczalnym terminem pogrzebu. Odpowiedzi na nią miały wydać sąd o miejscu wiecznego spoczynku a stosownie do tego orzeczenia należało się wcześnie zakrzątnąć koło sarkofagu, czy mauzoleum łącznie z artystami, którzyby ujęli w swe ręce ich wykonanie. Nie mało czasu upłynęłoby jednak, zanim by obrano tę lub inną postać grobowca, zapewne drogą konkursu, a co gorsze, zanimby komitet posiadł odpowiedni zapas gotówki, niezbędny dla roz-

[1]) Stefan Żeromski: Projekt Akademji literatury polskiej, str. 43.

poczęcia zdecydowanej akcji. Prawda, była podówczas zebrana kwota wcale pokaźna, ale przecież nie pokryłaby nawet najskromniejszych wymagań, a cóż dopiero, gdyby n. p. w myśl ankiety przyszło budować wspaniałe mauzoleum w podworcu Wawelskim. Zależnie więc od ustalenia miejsca i jakości grobowca czekały mniej lub więcej wytężone starania o fundusze.

Odpowiedzi nadszedł cały szereg[1]). Większość oświadczała się za Wawelem, Skałkę niemal całkiem wyłączono z rachuby. Nie brakło jednak poważnych głosów za Warszawą i katedrą św. Jana. Nie brakło wreszcie i takich, które były zasadniczo przeciwne sprowadzeniu zwłok wbrew woli poety do Polski w niewoli, bo „wstydem jest dla narodu sprowadzać zwłoki ducha wolnego do swoich więzień“[2]).

Popularnie zwało się w komitecie te projekty „wawelskim“ i „warszawskim“[3]). Do tych dwóch najpoważniejszych i jedynie zasługujących na uwagę, przybył trzeci, oryginalny i nieoczekiwany „projekt tatrzański“ Henryka Sienkiewicza. Oto list[4]) w którym autor „Sabałowej bajki“ i wielki miłośnik Zakopanego i Tatr rzucił „śmiałą myśl“.

Warszawa, 15 stycznia, 1904.
Hoża 22.

Szanowni Panowie!

Byłem w ciągłych podróżach z odczytami dla powodzian i z tego powodu nie mogłem dotychczas odpowiedzieć na list Panów z dnia 19 grudnia r. z. Upraszam uprzejmie o oznaczenie ścisłej daty zamierzonej jednodniówki, a będę się starał przysłać coś w w oznaczonym terminie.

Nakoniec pytanie najważniejsze w całej sprawie: gdzie mianowicie zamierzacie Panowie pochować zwłoki Słowackiego po sprowadzeniu ich do Ojczyzny? Chować go w „grobowcach zasłużonych“ na Skałce, to jest sprawiać pogrzeb i grób drugiej klasy poecie tej miary, wydaje mi się rzeczą wprost nie do pomyślenia. Owóż czy jest jakakolwiek nadzieja, aby w obecnych warunkach zwłoki Słowackiego mogły być pochowane na Wawelu. Czy były robione jakiekolwiek kroki w tym względzie i jaka była odpowiedź? - Jeśli Słowacki nie mógłby być pochowany na Wawelu — to mojem zdaniem należy albo sprawę odłożyć do dalszych czasów, albo zdobyć się na śmiałą myśl i wybrać dla niego który ze szczytów tatrzańskich. Byłby to grobowiec samotny, ale godny Słowackiego.

Proszę Szanownych Panów najuprzejmiej o wyjaśnienie tej sprawy i załączam słowo poważania i szacunku.

Henryk Sienkiewicz.

Już następnego dnia wysłał Sienkiewicz drugi list do komitetu na ręce prezesa w tej samej sprawie; widać żywo zajęło go sprowadzenie zwłok poety do kraju, więc coraz goręcej popiera własny „projekt tatrzański“, zarazem coraz wyraźniej ustala się w jego wyobraźni samotny grobowiec wśród turnic. Ten drugi list brzmi tak:

Szanowny Panie!

Pragnąłbym dodać kilka słów do wczorajszego listu, albowiem coraz bardziej stanowczo dochodzę do przekonania, że jeśli nie Wawel, to tylko który ze szczytów tatrzańskich. Myśl ta powinna być koniecznie wzięta pod rozwagę z tej przyczyny, iż trudno jest pomyśleć coś, coby bardziej odpowiadało ogromowi poezji i duszy Słowackiego. Gdyby on sam wybierał sobie grobowiec, wybrałby prawdopodobnie taki — wśród chmur i samotnych szczytów.

Miejsce musiałoby być oczywiście poświęcone. Granitów w Tatrach nie brak, możnaby więc wznieść ze złomów kaplicę, lub wykować w pionowej ścianie pieczarę, a nad nią olbrzymi krzyż lub olbrzymią płytę bronzową z napisem. Pole do pomysłów otwarte. W każdym razie, rzecz przeszłaby niezmiernie potęgą projekt grobowca na Skałce.

Jeśli Panowie zechcecie wziąć tę sprawę pod uwagę, to należałoby się porozumieć z Witkiewiczem.

Załączam słowa poważania i szacunku

Henryk Sienkiewicz.

Warszawa, 16 stycznia, 1904.
Hoża 22.

C. d. n.

[1]) Ponieważ terminu nadsyłania odpowiedzi nie oznaczono ściśle, przeto napływały one aż po rok 1909, najobficiej tuż przed rokiem jubileuszowym. Najwcześniej nadesłane: Rydla, Kisielewskiego, Konopnickiej, Miłkowskiego, Sienkiewicza i Witkiewicza umieszczono w „Jednodniówce ku czci Słowackiego“, wydanej staraniem komitetu w Krakowie w r. 1904.

[2]) Odpowiedź Kisielewskiego w „Jednodniówce“. Podobnie wystąpili później na zebraniu w Warszawie: Berent, Górski Artur, Grabowski Ignacy, Lorentowicz, Matuszewski, Przemycki, Wyrzykowski, Żeromski. Por. St. Żeromski l. c. 42 i archiwum komitetu.

[3]) Negatywne stanowisko Kisielewskiego nazwał raz ktoś „projektem sanego Słowackiego“ w łączności z wolą wieszcza, aby jego zwłok nie sprowadzano do kraju.

[4]) Drukowany jak i następny list w „jednodniówce“.

Z włóczęg górskich.

Pragnąłbym podzielić się z Szanownymi Czytelnikami odrobiną wrażeń, zaczerpniętych pełną garścią w uroczych bezmiarach tatrzańskich. Parę refleksów przepotężnych słów — lecz stój, mój Pegazie, wszak piszę prozą, po 10 halerzy od wiersza...

Było to w sierpniu 1914 roku, roku wojny i słoty. Była cisza. Na dworcu kolejowym w Krakowie kilka potężnych postaci zbyrcało groźnie zębami kutych butów po granitowej posadzce. Na piersi lina, w ręku czekan, (niebezpieczna to dekoracja, omal nią sobie oka nie wybiłem, jest jednak nader stylowem akcesorjum) — są to taternicy, członkowie Z. K. S. (Złotniczego Klubu Sportowego) a ja na ich czele! Było nas siedm osób, samych wytrawnych taterników: pięć uspołecznionych koleżanek, jedna mężatka i Ja.

Stalowy potwór, owoc kapitalistycznego ustroju, niesie nas w słoneczną dal, hen ku wyniosłym szczytom tatrzańskim. W międzyczasie, podczas, gdy koleżanki kompletują i reformują swój tatemicki rynsztunek, zechciej, Czytelniku, zapamiętać sobie, że w Tatrach są dwa rodzaje dróg: trudne o których się pisze, ale któremi się nie chodzi i łatwe, któremi się chodzi, ale o których się nie pisze. My, po namyśle, obraliśmy to pierwsze, aby, siły swe i życie zachować dla proletarjatu, do dalszej walki o zasadę: „Tatry dla proletarjatu.“

Zakopane. Wychodzimy tryumfalnie do uroczej, słonecznej „Doliny Płonki“ — na werandę. Niezorganizowany kelner dochodzi do nas krokiem ternika, tańczącego menueta na grani Kościelca — my jednakże zamiast odpowiedzi dobywamy z głębi niesamowitych plecaków „Prymus“ i po chwili maszynka naftowa poczyna nam śpiewać odwieczne baśni tatrzańskie, epopeję ludu, który nigdy nie znał pańszczyzny (na werandzie wygłosiłem odczyt „O twórczości Dżengischana“).

. . . . i poniosły nas wysmukłe uda na przepotężną Halę Gąsienicową. Już na Boczaniu napotkaliśmy pewne trudności, krzaki borówczane i smreki, strzaskane autentycznymi piorunami. Przy pomocy liny zrobiliśmy próg na Karczmisku, potem zaś śmiałym a karkołomnym chwytem przewieszkę na Kopie Magóry (przewieszka jest to powietrzność podzielona przez ekspozycję). Halny wiatr zaniósł nas na Halę, stąd zaś pięknym telemarkiem (jest to belgijski system spinaczki stosowanej) zjechaliśmy Żelaznemi Wrotami do Ciemnych Smereczyn.

Tu, w piękną, księżycową noc poczułem w swem łonie jakieś sferyczne, nadziemskie drgnienia. Cisza była — jedynie w głębi schroniska szemrał strumyk, obok szumiały odwieczne smreki a z bezdennej toni Ciemnosmereczyńskich Stawów dolatywał śpiew łabędzi. Budziły się we mnie uśpione siły — czułem, że się duchowo odradzam a wrażenie to spotęgowało się jeszcze po sutej iście taternickiej kolacji... (wygło-

siłem tu odczyt „O materjalistycznem pojmowaniu dziejów“).

O świcie zerwałem się. Towarzyszki moje chrapały jeszcze z temperamentem a fałszywie — mnie zaś zbudził hymn, grany przez ciemny bór. Zda się, że smreki wyciągają ku mnie na przywitanie swe żywiczne ramiona i wołają: „Witaj nam, witaj, miły hospodynie“... Rozśpiewała się świetlna dal — w tem czar prysnął: towarzyszki zbudziły się, narzekając, że robactwo zasnąć im nie dało. Podejrzewałem jakąś endecką intrygę konkurencyjnej firmy tąternickiej — przyszłość miała wykazać, że jak zawsze, instykt mnie nie zawiódł (wygłosiłem odczyt „O niebezpieczeństwach Tatr“).

Dzień ten przeznaczyłem na spinaczkę skalną — postanowiłem zrobić pierwsze wejście na nietknięty jeszcze, dziewiczy szczyt „Kopy Magóry“, szczyt, o który rozbiły się aspiracje taterników tej miary, jak Chudogęba z klubu T. A. B. E. S. i Kloria z M. A. J. U. F. E. S. Zostawiliśmy sprzęt tatemicki w schronisku pod opieką denaturowanego góralczyka, wzięliśmy tylko liny, a mężatka nadto, zupełnie zresztą zbytecznie, chustkę do nosa. „Kopa Magóry“, ograniczona od wschodu „Żabim Koniem“ i „Mnichem“, z innych zaś stron niedostępnemi „Reglami“ na wysokości 3000 m. rzuca wyzwanie niebiosom. W dolnych jej regionach rośnie kosodrzewina, w średnich owce, na szczycie zaś jeno orły się gnieżdżą!

Po przejściu „Żabiego Konia“ i niszczącej ubranie dyskusji z klerykalnym „Mnichem“, poczęliśmy piąć się po gładkiej ścianie „Kopy Magóry“. Na żmudnej a bolesnej spinaczce upłynęło kilka ciężkich godzin, aż wreszcie minęliśmy regiony kosówki. Jeszcze jeden chwyt i jesteśmy już w regionie środkowym, wśród rogatej trzódki. Pijemy żętycę, wypoczywamy, by módz świeżemi siłami sięgnąć po nowe laury — zatknąć swe wizytówki na samym szczycie, obielonym wieczystym śniegiem. Niestety, musimy zrezygnować z dalszej wycieczki — ktoś nas ubiegł w zdobyciu szczytu! Oto na samym szczycie „Kopy Magóry“ dostrzegam drąg, na którym wisi latarnia. W odpowiedzi na moje pytanie tłómaczy nam juhas, że latarnię tę umieścił tam przed paru laty kulawy Wojtek Pijawica Jaguś, by światło jej wskazywało drogę zbłąkanym krowom. Oczywiście, zaniechaliśmy dalszej spinaczki — (zamiast tego wygłosiłem odczyt „Geniusz a społeczeństwo“).

Dumni, żeśmy dokonali Czynu taternickiego, z świeżym zapasem sił do walki z szarzyzną życia codziennego, wracamy do dom a czas skracamy sobie zwrotkami marsza taternickiego. I leci w bezmiar znana pieśń (na nutę „Poznałem Ci ja Petrysię“):

Nasz towarzysz — to turysta,
zwiedził szczytów może z 300 —
widać mu to z twarzy,
że się wszędzie odważy
kawiarniany alpinista...

Szedł do Płonki przez ulicę,
w drodze wstąpił na Świnicę —
wziął czekan i linę,
no i ładną dziewczynę —
kawiarniany alpista...

Nie-Kacapiński.

O Zakład Czerwonego Krzyża w Zakopanem.

AUTONOMIA I ZWYCZAJE TOWARZYSKIE.

„*Gazeta Warszawska*“, której współudział w akcji naszej o naprawę zakładu zakopiańskiego przyczynił się wielce do wkroczenia organów rządowych, donosi (nr 171), że „sprawa całkowitego wyświetlenia głośnych już w prasie nieporządków w sanatorjum Czerwonego Krzyżą w Zakopanem, weszła obecnie w nową fazę.

Delegowana niedawno z Warszawy do Zakopanego specjalna komisja rządowa, po dokonaniu szczegółowej rewizji ujawniła mnóstwo wadliwości nietylko w sanatorjum zakopiańskiem, ale i w gospodarce Krajowego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża wogóle.

Stawiane władzom naczelnym Stowarzyszenia zarzuty zaniedbania gospodarki i rachunkowości, lekceważenia dobra żołnierza polskiego, wyjątkowej bezczynności w całej administracji i t. p. potwierdziły się niestety w zupełności. Ujawniła się konieczność niezwłocznego przystąpienia przez władze rządowe do zbadania wszystkich innych agend Stowarzyszenia i zarządzenia jaknajenergiczniejszych kroków sanacji.

Całej tej akcji komisarza rządowego do spraw Czerwonego Krzyża, stanął na przeszkodzie fakt niebywały w praworządnym państwie. Oto prezydjum Krajowego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża zamknęło przed władzami rządowemi drzwi biur i składnic Czerwonego Krzyża i oświadczyło, że... warszawskich władz — galicyjskie stowarzyszenie, jako „autonomiczne“ nie uznaje.“

Półurzędowa Polska Agencja Telegraficzna w Warszawie informuje:

„Dowiadujemy się z miarodajnego źródła, że komisarz rządowy do spraw Polskiego Czerwonego Krzyża, Władysław hr. Tyszkiewicz ustępuje ze stanowiska. Przyczyną tego kroku są nieprzezwyciężone przeszkody i trudności napotkane w sprawie wyświetlenia głośnych już w prasie wypadków w Krajowem Stowarzyszeniu Czerwonego Krzyża w Galicji. Jak wiadomo, specjalna komisja rządowa, badająca sprawę z ramienia hr. Tyszkiewicza, po dokonaniu rewizji sanatorjum i składnic w Zakopanem i ujawnieniu bardzo poważnych nieporządków została niedopuszczona przez władze Krajowego Stowarzyszenia do dokonania dalszej rewizji instytucji Stowarzyszenia w Krakowie. Jednocześnie z hr. Tyszkiewiczem podał się do dymisji cały skład komisarjatu rządowego.“

Niewiadomo zaiste, jak tłumaczyć dziwne zachowanie się komisarjatu rządowego, który zamiast pełnić do końca swój obowiązek, cofa się w połowie walki z posterunku. Czyżby hrabia-komisarz ustępował przed niby ustępującym księciem-prezesem? Stosowanie zwyczajów towarzyskich, dobrych i miłych w salonie, w pracy społecznej byłoby w tym wypadku może bezwiednem, ale niebezpiecznem rozzuchwalaniem i bez tego śmiałych szkodników oraz ich „autonomicznych“ protektorów.

W sprawie tej pisze słusznie nowotarska „*Gazeta Podhalańska*“ (nr 24):

„...Nadużyciami, które oddawna były przedmiotem pogłosek, zajęły się nareszcie władze administracyjne i sądowe pod naciskiem oburzonej opinji publicznej. Skandaliczne szegóły ujawnione przez śledztwo administracyjne, rzucają przykre światło na gospodarkę zwłaszcza u góry. Śledztwo się widocznie przewleka i pierwotny pośpiech znacznie się zmniejszył. Koniecznem jest dokładne oczyszczenie bagienka i

usunięcie winnych od kierownictwa, gdyż o nadużyciach jest już poinformowany amerykański Czerwony Krzyż. Ponieważ zaś Amerykanie zamierzają przyjść z pomocą Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi, przeto dla dobra naszej instytucji i dla wzbudzenia zaufania w jego uczciwość a energję i sprawiedliwość naszych władz nieodzowne są zmiany w zarządzie. Nie można dopuścić, aby wszystko skończyło się zatarciem nadużyć i zwaleniem winy na podrzędnych funkcjonarjuszy."

KOZIOŁ OFIARNY.

Dochodzenie administracyjne i sądowe prowadzone na miejscu w Zakopanem ustaliły, że głównym odbiorcą składnicy Czerwonego Krzyża był kupiec zakopiański, Mojżesz Still. Niejedna wprawdzie z tutejszych najpoważniejszych firm kupieckich byłaby się chętnie i w najlepszej wierze zaopatrywała w towar u tak „solidnego grosisty", za jakiego Czerwony Krzyż w czasie wojny w kołach kupieckich uchodził,— lecz nie każdy zasługiwał na to z a u f a n i e prezydjum tej instytucji, co Mojżesz Still, którego samo już nazwisko dawało pewną gwarancję dyskrecji...

Zresztą każdy szlachcic... musi mieć swego żyda!...

Mojżesz Still, którego nieszczęściem było, że pozyskał zaufanie arystokratycznego *par excellence* prezydjum i że chciał mieć towar ze źródła, które według jego przekonania dawało jemu nawzajem najpoważniejszą gwarancję „solidności", wyszedł jednak na tem, jak... biblijny kozioł ofiarny...

Opinja publiczna, pod której naciskiem nie przeczuwające skutków swego „zamachu" na powagę Czerwonego Krzyża władze miejscowe odważyły się wetknąć kij w mrowisko — zajęła się tą sprawą tak bardzo, że mimo intenzywnej przeciwakcji prezydjum — władze musiały opinję publiczną czemś uspokoić...

I powtórzyła się scena biblijna... Jehowa, zażądawszy od Abrahama ofiary ze syna jego Izaaka, zadowolił się koziołkiem, widząc gotowość ojca do poświęcenia nawet tej najdroższej latorośli... Jehowa — Władza przyjęła zaś na razie ofiarę z koziołka — Stilla... Nie wiemy jednak czy Czerwony Krzyż gotów był oddać... na ofiarę sprawiedliwości także swych synów... rodzonych... Trzymano więc kozła — Stilla w areszcie gminnym, mimo złożonej przezeń kaucji i mimo jego choroby, stwierdzonej nietylko przez lekarzy, ale stwierdzanej przez samego Stilla aż zbyt dobitnie i zbyt często...

Jednakże władza nie okazała się tak mściwą i bezwzględną, jak biblijny Jehowa..,

Oto powrócił z krótkiej niewoli nowosądeckiej na łono Zakopanego i rodziny koziołek — Still, bo władza nie przyjęła ofiary Czerwonego Krzyża — nie dopatrzywszy się w koziołku winy...

Powrócił kozioł ofiarny, i rozpoczął kurację osłabionego nerwowemi przejściami żołądka, — a stróż urzędu gminnego, do którego obowiązków należy utrzymanie czystości w tymczasowym gminnym karcerze, nie może wyrozumieć... „po co on tu tyla narobieł kłopotu, kie mu nie moc siedzieć kazali..."

Wierząca zaś niezachwianie w tryjumf sprawiedliwości opinja publiczna spokojna jest o dalszy przebieg i wynik dochodzeń w omawianej sprawie. Wyrazem jej podsłuchana przezemnie rozmowa dwóch górali:

„Kumie, powiedzciez, dlacegoz to to tego Stila puścili? Nie wicie? Bo przeznali, że gorsy hycel ten, co sprzedawoł nie swoje, niż ten co kupowoł dla drugik. Pockojcie, teroz przyjdzie kolej siedzieć na tego, co sprzedawoł, a tego tak wartko nie wypuscom!...

— Terozeście kumie prowde pedzieli — hej!..."

I opinja publiczna czeka...

Murek.

MARYA DUDREWICZOWA
kierowniczka szkoły koronkarskiej w Zakopanem.

O PRZEMYŚLE KOBIECYM.

2 (Ciąg dalszy).

I u nas obecnie widoczna zmiana na lepsze. Wszyscy zabieramy się do organizacji wszelkiego przemysłu, a rozwój przemysłu ręcznego kobiecego znajduje grunt bardzo podatny. Wojna wyczerpała niektóre klasy społeczeństwa ekonomicznie i zmusza do szukania nowych źródeł zarobku.

Dotychczas rozwijają się u nas następujące działy przemysłu kobiecego: guzikarstwo, kwieciarstwo, sztuka stosowana, zabawkarstwo, kilimiarstwo, szewstwo, koszykarstwo, galanteryjne, kartoniarstwo, bieliźniarstwo, krawieczyzna, wyrób dewocjonali, hafciarstwo i koronkarstwo. Prócz tych rzemiosł powstają dla kobiet szkoły gospodarstwa domowego, gdzie uczą sztuki gotowania, przetworów owocowych, pieczywa, a także prania i prasowania. Powstają także zakłady n. p. we Lwowie, gdzie kobiety uczą się ogrodnictwa, sadownictwa, a w ostatnich czasach poświęcają się nauce wielkiego gospodarstwa rolnego. W przyszłości przy wprowadzeniu hygjeny do szkół powszechnych i nauki o radzeniu sobie w nagłych wypadkach zajmą się kobiety także zbieraniem i suszeniem ziół leczniczych i zakładaniem apteczek domowych, szczególniej po wsiach, gdzie ogromny brak tych rzeczy daje się teraz odczuwać.

I tak widzimy, że wszystkie te gałęzie przemysłu kobiecego są na dobrej drodze do rozwoju.

Najlepiej dotychczas zorganizowane jest w Galicji trykotarstwo i kilimiarstwo, które to działy wykazują już piękne obroty.

Większe pracownie kilimów znajdują się w Glinianach, we Lwowie i w Zakopanem, a w całym kraju jest 19 pracowni.

Guzikarstwo w powiecie lwowskim po kilku latach pracy przed wojną miało już ładne obroty i zamówienia do Ameryki.

Kwieciarstwo sztuczne znajduje u nas dosyć rąk wyszkolonych. Ale i tutaj trzeba zerwać z tą maksymą, że dopiero starsi powinni się uczyć tej gałęzi przemysłu. Łatwe kwiatki potrafiłyby robić i dzieci. Zajmowałyby się więcej przyrodą najdrobniejsza roślinka, kwiatek, listek, trawka zwracałyby prędzej ich uwagę. Badałyby barwę i skład tychże i zaczęłyby kochać tę przyrodę, która jest dla nich dotychczas [illegible]. Nauka w szkołach powszechnych ludowych powinna się raz na tydzień przed południem odbywać wśród przyrody na polu, w ogrodzie lub lesie. W Szwajcarji najmniejsze dzieci ze szkoły ludowej zdają sobie już sprawę o rozróżnianiu traw, ziół i robią zielniki.

Zapotrzebowanie kwiatów sztucznych jest bardzo wielkie. Zakład pogrzebowy we Lwowie płaci rocznie 20.000 kor. za wieńce ze sztucznych kwiatów. Teraz tyle kościołów u nas, w których ludzie ołtarze przyozdabiają kwiatami. W końcu zapotrzebowania kwiatów do kapeluszy damskich.

Królestwo wyprzedziło Galicję w tej gałęzi przemysłu, bo po roku 63-ym Polacy, pozbawieni tam stanowisk urzędniczych, rzucili się do handlu i przemysłu, wprowadzili

wówczas i kwieciarstwo. Warszawa miała przed wojną kilkanaście pracowni, zatrudniających wiele robotnic. Wyrabiano kwiaty i liście. Pracownie te zaopatrywały własne miasto i wysyłały swoje wyroby na Litwę i do Rosji.

W Galicji jest już kilkanaście pracowni sztucznych kwiatów — we Lwowie, w Krakowie, po miasteczkach prowincjonalnych i nawet na wsi n. p. w Dawidowie koło Lwowa.

Wyroby polskie sztucznych kwiatów i zasuszonych świeżych kwiatów, których pracownia znajduje się w szkole wydziałowej Marji Magdaleny we Lwowie, mogą śmiało rywalizować z wyrobami francuskimi, a przewyższają stanowczo wyroby niemieckie.

Koszykarstwo ma swoje szkoły we Lwowie i Krakowie prócz tego powstały pracownie w wielu miejscowościach prowincjonalnych po kraju a najpiękniej rozwinęło się w Rudniku, gdzie powstała hurtownia sprzedaży i skład surowców. Wsie okoliczne naokoło Rudnika zajmują się koszykarstwem.

Zabawkarstwo drewniane ma swoje pracownie w Kulikach obok Lwowa, Leżajsku, Jaworowie. Obecnie warsztaty krakowskie i Towarzystwo pań popierania przemysłu kobiecego w Krakowie stworzyło pracownię malowania zabawek. Towarzystwo to, powstało podczas wojny i niestrudzone w swej pracy założyło także pracownię różańców i szkaplerzy.

Wełniane zabawkarstwo po kursach urządzanych przez Ligę pomocy przemysłowej we Lwowie i w Krakowie posiada już także kilkanaście pracowni po kraju. Natrafia jednak od początku na trudności w zakupnie materjałów, które potrzeba było *en gros* sprowadzać ze Szwajcarji lub Saksonji. W kraju powinien być hurtowny skład tych rzeczy, któryby detajlicznie odsprzedawał materje, części składowe lalek a także materjał do wypychania zabawek i instrumenta żelazne poszczególnym szkołom czy pracowniom.

Szewstwo, jako przemysł kobiecy zapoczątkowany u nas dopiero w czasie wojennym, dało nadzwyczaj dobre wyniki. Przemysł ten nadaje się bardzo do rąk kobiecych. I znów z inicjatywy Towarzystwa pań popierania przemysłu kobiecego powstała pracownia szewska we Lwowie na mniejszą skalę, a pracownia krakowska obraca już krociami.

KRONIKA.

Z powodu strajku drukarskiego wydajemy numer niniejszy w mniejszej objętości.

Z Nowego Targu piszą nam:

Przed wojną założono w Nowym Targu towarzystwo „Gorce", które miało stać się Oddziałem Towarzystwa Tatrzańskiego. Celem jego było poznanie i zbadanie Gorców, przedewszystkiem ze stanowiska turystyki, uprzystępnienie ich turystom w lecie i w zimie, zwłaszcza przez zbudowanie schroniska dla narciarzy na hali Turbacza. Planowano również wydanie osobnego przewodnika po Gorcach z uwzględnieniem wycieczek letnich i zimowych, uzupełniając w ten sposób przewodnik Sosnowskiego po Beskidzie zachodnim.

Wojna przeszkodziła zamiarom założycieli towarzystwa, które mimo krótkotrwałego istnienia zdołało jednak uzyskać od gminy liczne obietnice w sprawie dostarczenia materjału budowlanego dla wznjesienia schroniska. Obecnie jednak nadchodzi czas, w którym turystyka polska, zwłaszcza na pograniczu kresowem, stoi przed nowemi zadaniami. Przy tej sposobności powinno się przypomnieć i sprawę Gorców i towarzystwa z niemi związanego.

Należałoby już dziś reorganizować ten Oddział T. T. Wprawdzie dzisiejsze ceny robocizny i materjałów budowlanych nie pozwolą może na przystąpienie natychmiastowe do budowy schroniska na Turbaczu, bodaj czy nie najważniejszego zadania Oddziału, to jednak już dziś należałoby rozpocząć akcję i przygotować wszelkie plany, aby turyści przynajmniej w następnym roku mogli korzystać z udogodnień w górach. Chętnych do pracy znajdzie się zawsze dosyć nawet na ospałej prowincji, należałoby ich tylko skupić dla tak pięknego celu.

W Polsce odżywa już ruch turystyczny i krajoznawczy po wojennym zastoju. Oddział „Gorce" mógłby wiele przyczynić się do ożywienia tego ruchu, popierając organizowanie wycieczek, dostarczając przewodników przybywającym z dalszych okolic narciarzom, nie zaniedbując i rozpowszechnienia znajomości Gorców zapomocą opisów wycieczek, przewodnika, kartek widokowych, fotografji i t. d. Czasopisma poświęcone turystyce i krajoznawstwu napewno już w najbliższym roku będą po latach nieczynności odnowione. Wyjdzie w dawnej postaci Pamiętnik T. T., Towarzystwo Krajoznawcze w Warszawie wznawia obecnie wydawnictwo cennej „Z i e m i" — niechże i nasze Gorce znajdą w nich należytych opiekunów i miłośników, których jednak my tu u ich stóp musimy zorganizować.

Nie wątpię, że gmina nowotarska, która przed wojną okazała zrozumienie tych celów przyczyni się i dziś do rozwoju oddziału. Wszakże skupienie choćby niewielkiego ruchu turystycznego w mieście w porze zimowej, przyniesie zyski i jego mieszkańcom. *J. Zb.*

Uczniowie gimnazjum państwowego im. Bolesława Chrobrego w P i o t r k o w i e złożyli na rzecz Komitetu Obrony Kresów Południowych w Zakopanem do rąk dra Józefa Diehla: dwie asygnaty Skarbu Polskiego, nr P 677606 na 100 rubli i nr K 17794 na 100 koron oraz 120 koron gotówką.

Wycieczka 38 chłopców z tegoż gimnazjum pod kierunkiem 4 profesorów bawiła w Zakopanem i Tatrach od 21 do 28 z. m.

„Zwyczaje towarzyskie". Czytamy w „*Głosie Narodu*" (nr 138): — Pokaż mi, jak jesz — a powiem ci, kim jesteś, możnaby sparafazować znane bon mot, patrząc na dzisiejszych gości pierwszorzędnych restauracji i kawiarń. Kultura bowiem objawia się we wszystkiem, ale negatywnie, łatwiej się z nią ukryć, niźli zasłonić choćby drobne jej braki. Wojna, a raczej czasy obecne „uprościły" nam w wielu wypadkach życie, ale też, ścierając dużo przeżytków konwenansu, usunęły niektóre zwyczaje pożyteczne jak n. p. formy towarzyskie, uprzejmość i wdzięk w obcowaniu z bliźnimi. Sfera t. zw. posiadających powiększyła się o wielu, co w szybkiej ewolucji ze sklepikarza w milionera nie zdążyli nauczyć się koniecznych form zachowania się wśród ludzi wogóle, a w solenniejszem wystąpieniu w szczególności. Nierzadko też spotyka się obecnie gentelmana z pozoru o manierach rażących prymitywnością i skrępowaniem w nowej skórze.

A łatwo jest pozbyć się tych „nieprzyjemnych" wspomnień, tak nielubianych przez JWPana Geldhaba — ukazała się bowiem wielce interesująca w tym względzie książka p. t. „Zwyczaje towarzyskie" (Savoir vivre), wydana nakładem Podhalańskiej Księgarni A. Zembatego w Zakopanem. Str. 368, VIII. Jest to dobry poradnik dla naszych Dziedzierzyńskich, a także i dla tych, co zdają się czasem o formach zapominać. Rady są dobre i rozumne, pióra nie byle kogo, bo — Zygmunta Sarneckiego. *s. n.*